PRAWDA

Pismo tygodniowe. *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 21. *Warszawa, 23 maja 1914.* Widok 3.

Przemysł ludowy.

1.

Zdobycie miast przez wytworzenie warstw średnich mieszczaństwa polskiego, zatrudnionego w handlu i przemyśle, jeszcze nie wypełnia całego programu pozytywnego doby dzisiejszej, choć mieści się w nim na pierwszym planie: właściwym naszym celem powinno być uruchomienie wszystkich sił wytwórczych polskich ku obronie bytu narodowego, zachwianego już nawet w materjalnych swoich podstawach.

Ponieważ ludność wiejska w naszym kraju stanowi dwie trzecie ogółu ludności, łatwo więc pojąć, jakie znaczenie ma dla nas rozwój przemysłu ludowego. Wieś polska jest przeludniona, ziemia wszystkich wyżywić nie może; chłop małorolny ratuje się od śmierci głodowej wychodźtwem stałym lub sezonowym, z korzyścią dla obcych, z uszczerbkiem dla swego kraju. Zabronić mu tego nie można; pozostaje tylko jedna droga: wytworzenie na ziemiach polskich dostatecznych warsztatów pracy, by zatrudnić mogły setki tysięcy ramion, które dotąd powiększały dorobek ludów obcych i wrogich.

2.

Polski przemysł ludowy w obecnej swojej fazie nie spełnia zadania swego nawet w dziesiątej części. Pod tym względem równać się nie może z Rosją, gdzie «kustarnyj promysieł» świetnie prosperuje, zatrudnia 16 miljonów rąk i i wytwarza różnych przedmiotów za dwa miljardy rocznie. Gdy przed kilku laty grono ludzi, natchnionych najlepszą wolą, rzuciło myśl popierania przemysłu ludowego, spotkała się ta inicjatywa z jednogłośnym uznaniem. Powstało wówczas *Towarzystwo popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskim.* Na czele tej instytucji stanęli ludzie wybitni i ofiarni; posypały się składki; lista członków została ozdobiona świetnymi nazwiskami. Pierwsze kroki Towarzystwa były udatne: założono szereg szkół zawodowych tkackich, koszykarskich, stolarskich, krawieckich i t. d. Powstał sklep przemysłu ludowego. Przy pomocy wychowańców szkół Towarzystwa zakładano po wsiach liczne warsztaty wzorowe. Niebawem jednak doznano zawodu: Towarzystwo, mimo pozornej swej ruchliwości, nie zdradza tendencji rozwojowych, a co gorsza, wśród ludu, z którym w bezpośredniej żyje styczności, nie cieszy się wielkim poważaniem. Czynniejsi członkowie Towarzystwa skarżą się na zastój i wadliwy kierunek. Mimo kadzideł prasy inspirowanej przez naczelne władze Towarzystwa, rośnie w nim niewątpliwie duch opozycyjny, dokoła zaś coraz liczniejsze i głośniejsze rozlegają się głosy krytyczne, których nie wolno lekceważyć, bo sprawa, tu poruszona, ma poważne znaczenie społeczne.

3.

Pierwszym błędem Towarzystwa jest wadliwy program; opiewa on, że celem Tow. jest dostarczanie *dochodu dodatkowego* włościanom, szczególnie małorolnym, w miesiącach, gdy w naszym klimacie nie mogą pracować na roli.

Takich miesięcy przypada pięć na rok: oto redukcja dobrowolna, którą Tow. na siebie nakłada i narzuca innym. Sprowadzanie przemysłu ludowego do nikłej roli zajęć «dodatkowych» na przeciąg 5 miesięcy i pilne przestrzeganie tego prawidła—jest krzyczącym błędem. Pociąga on za sobą dotkliwe skutki. Przedewszystkiem, Tow. nie może stosować siły motorowej, choć w programie swym gorąco ją zaleca; trudno przecież wyobrazić sobie motor, czynny jedynie pięć miesięcy w roku! Następnie Tow. odmawia rady i pomocy związkom i kooperatywom wytwórczym, które nie mogą przecie zamierać na siedem miesięcy w roku, by zadość uczynić klauzuli programowej. W ten sposób Tow. odpycha od siebie wiele poważnych placówek przemysłu ludowego i skazuje się samo na bezczynność.

Włościanom, zwłaszcza małorolnym, o których tak bardzo troszczy się program Towarzystwa, wcale nie przypada do smaku owo zastrzeżenie. Wielu z nich wręcz słyszeć nie chce o posyłaniu dzieci do szkół zawodowych Towarzystwa. Gospodarz pewien, zapytany o przyczyny tej niechęci, tak nam odpowiedział:

— Nauka w Nałęczowie lub w Oryszewie trwa 2—3 lata; koszta wynoszą 7 rb. miesięcznie, a korzyści z niej żadnej. Bo rzeczywiście: my chcemy, żeby dzieci nasze, mieszkając przy nas na wsi, miały stały fach w ręku. Przecież na trzech morgach z rodziną nie wyżyje, a słać młodych na Saksy, na świat, na poniewierkę—nie chcemy. Tymczasem Towarzystwo stawia za warunek, żeby rękodzielnik, uczony w jego szkołach, traktował swój zawód jako zajęcie dodatkowe na czas wolny od pracy od roli. Taka robota niewiele warta. Jeśli kto wyuczył się rzemiosła—toć nie po to, żeby wracać do pługa. Jaki tam będzie z niego tkacz, stolarz, krawiec lub czapnik, jeśli siedem miesięcy do roku będzie siał i orał! Przecie taki to igły w palcach nie utrzyma, ani osnowy nie potrafi nasnuć... Cała nauka pójdzie w las. Czy poto mam posyłać do szkół chłopaka i pozbawiać się w domu na dwa lat pary młodych rąk? Tu trzeba wybierać: wóz albo przewóz. Póki Towarzystwo tego nie zrozumie, to z całej tej roboty niewielka będzie pociecha.

4.

Do tego dodać warto, że i kierunek wychowawczy w szkołach Towarzystwa jest nawskroś wadliwy. Zamiast wypuszczać *zawodowców*, zdolnych do samodzielnej pracy, szkoły kierują swych uczniów na *instruktorów*, których nieznaczną tylko część zużytkować i obsadzić mogą; reszta przerzuca się na inne zawody.

To też rozwój przemysłu ludowego jest bardzo powolny; rozwijają się prawie wyłącznie rękodzieła prymitywne i łatwe, jak tkactwo ręczne i koszykarstwo.

Niedość na tym: w ostatnich czasach Towarzystwo poczęło traktować własne szkoły, jako domy zarobkowe, dostarczające towaru do sklepu przy ul. Brackiej lub na zamówienie różnych klijentów. Czyż mamy wyjaśniać, że to jest błąd fatalny?

Gorzej, bo np. szkołę kwiaciarską *oddano poprostu w pacht* pewnemu przedsiębiorcy, który płaci po 40 kop. dziennie za wyrób sztucznych «kwiatków», sprzedawanych na cele dobroczynne.

W tych warunkach nie dziw, że ani Towarzystwo nie cieszy się mirem, ani wyroby jego—wziętością.

5.

Mimo to wszystko, mogłoby Towarzystwo pożyteczną rozwinąć działalność w zakresie choćby dostarczania kredytu i materjału wytwórniom ludowym. Ale i tu nie stoi ono na wysokości zadania.

— Skończyłem szkołę tkacką w Oryszewie—opowiadał nam pewien włościanin—i założyłem własną pracownię wyrobów lnianych. Ponieważ przędzę na potrzeby przemysłu ludowego trzyma skład Towarzystwa, przeto zwróciłem się do niego. Ale Towarzystwo sprzedaje tylko za gotówkę i żadnych ułatwień kredytowych nie czyni. Nie rozporządzając większą sumą, prosiłem o nadesłanie przędzy (za zaliczeniem) i umówiłem się jednocześnie, że całą produkcję dostarczę Towarzystwu, a wzamian otrzymam świeży transport lnu. Dzięki tej manipulacji mógłbym zająć się pracą, do której czuję powołanie. Ale zawiodłem się srogo. Należność za pierwszą przesyłkę odebrałem «kapaniną» w ciągu ośmiu miesięcy; cały kilkorublowy zysk przepadł na rozjazdy.

Na reklamacje zaś otrzymałem odpowiedź, że Towarzystwo płaci w miarę sprzedaży i że nie może być inaczej. To mnie zupełnie zraziło do przemysłu ludowego, jakkolwiek uważam, że przy właściwym poparciu i dobrym kierunku miałby on poważne znaczenie.

Z tych słów, pełnych prostoty, wynika jasno, że Towarzystwo nie umie lub nie chce popierać przemysłu ludowego przez właściwą organizację kredytu i pośrednictwo w kupnie i sprzedaży.

6.

Niewątpliwie, są w Towarzystwie ludzie najlepszej woli, działalność ich jednak ujemne dała wyniki, bo nie wyrasta nad poziom zwyczajnej *filantropji*, która może tu i owdzie rozciągnąć pieczę nad gronem pupilów, ale przemysłu ludowego nie dźwignie, sił wytwórczych polskich nie zbudzi i nie uruchomi. Raczej przeciwnie: sposobem traktowania ludu Towarzystwo, zamiast podniecać w nim żądzę samodzielnego czynu, wdraża go do biernego i ślepego słuchania rozkazów. To też utyskują włościanie, że w Towarzystwie «chłopa mają za nic». Chłopskie wskazówki i rady puszczają mimo uszu. Do zarządu chłopów nie dopuszczą a i na członkow ich nie werbują...

Może brzmi w tych słowach przesadne rozżalenie, ale właśnie ta nuta świadczy, że dotychczas odbywa się «popieranie przemysłu ludowego» zupełnie mechanicznie i bezdusznie, że między gronem «opiekunów» a ciżbą «pupilów» niema żadnej harmonji. Gorzej nawet: niema zaufania. Czyliż nie kursuje po wsiach potworna pogłoska, że władze naczelne Towaraystwa, ulegając tajnym nakazom «żydów i masonów», robią wszystko, by przemysł ludowy podkopać i zniszczyć? Na dowód, że tak jest, wytykają chłopi cały szereg istotnie tak jaskrawych uchybień i błędów w działalności Towarzystwa, że gdyby ktoś rozmyślnie pragnął mu szkodzić, toby nic gorszego doradzić nie mógł. Oczywiście, pogłoski te są krzywdzące i niedorzeczne; niemniej przecie są wymownym świadectwem wadliwych metod i błędnego kierunku.

7.

Niewesoły ten stan rzeczy, stawiamy przed oczy ogółu w przededniu walnego zebrania Towarzystwa. Spodziewać się można, że dokona się tam, choćby w minimalnym stopniu, dzieło koniecznej sanacji zwłaszcza, że nowy dyrektor Towarzystwa jest wrogiem rutyny.

Towarzystwo popierania przemysłu ludowego zakreśliło sobie rozległy plan działania; pragnie ono podnieść dobrobyt mas ludowych i powstrzymać wychodźtwo, chce kraj dźwignąć o cały szczebel gospodarczo-kulturalnego rozwoju, zamierza uruchomić, zmodernizować wieś polską... atoli posługuje się w tym celu samo przestarzałą metodą filantropji. Dopóki Towarzystwo będzie prowadzone w tym duchu — mowy być żadnej nie może o skutecznym poparciu i szybkim rozwoju przemysłu ludowego w Polsce.

ORION.

Echa Prawdy.

I. Żyd jako hyperrosjanin. II. Wątpliwy splendor. III. Rozkoszny sen pana Kleinfelda.

I. Niedawno na łamach *Dnia* petersburskiego (№ 74) wypowiedział się Bikerman w sprawie stosunku żydów do kultury rosyjskiej.

Motywem tego wystąpienia był artykuł niejakiego Patraszkina, który w tymże *Dniu* podniósł znaczenie kultury państwowej, jako czynnika niwelującego rozbieżności narodowościowe, czynnika, stwarzającego «cały świat wartości, jednakowo cennych dla wszystkich narodów Rosji». Na drodze do urzeczywistnienia radykalno-państwowej idyli widzi przecież Patraszkin pewne trudności. Zrozumienie znaczenia kultury państwowej «wymaga — jego zdaniem — od Polaka dużego wysiłku, od Żyda -- jeszcze większego, mniejszego — od Ukraińca».

Zdanie to, jak grot, uderzyło w państwowe serce Bikermana. Jakto? Zrozumienie znaczenia kultury państwowej wymaga od Żydów — największego wysiłku? Nie może to być: «Państwo współczesne, współczesna organizacja kultury materjalnej bliższa jest Żydowi, niż Polakowi, Wielkorussowi, Niemcowi i wogóle komukolwiek. Zwycięstwo Izraela, o którym nie przestają mówić, i nie bez słuszności, wrogowie Żydów, sprowadza się do tego, że narody europejskie — po przejściu długiej drogi okolnej — przyszły do tych form życia, w jakich oddawna żyją, lub starali się żyć Żydzi.»

Nie przecieraj oczów, czytelniku. To nie sen.

Aby rozproszyć wątpliwości, czy zdanie powyższe nie jest bezpodstawne, czy nie jest czasem pretensją Żydów do nadczłowieństwa, Bikerman spieszy poprzeć je faktami «historycznymi».

«Kiedy w Europie wieków średnich podróżnik spotykał na każdym kroku zapory i szlabany, kiedy każda gmina starała się żyć według praw własnych, każde miasto chciało być państwem samodzielnym, a każdy cech i każda gildja kupiecka pragnęły żyć światem zamkniętym, — rzemieślnik żydowski gotów był pracować dla każdego, kupiec żydowski starał się kupować u każdego i każdemu sprzedawać. Za to Żydów prześladowano, za to ogłaszano ich za wrogów społeczeństwa. A przecież zasadniczą cechą organizacji społeczeństwa współczesnego jest właśnie wolność przenoszenia się, stosunków i pracy, za które Żydzi zapłacili w ciągu długich wieków ciężkimi mękami. Kiedy abecadło miało przytułek zaledwie w niektórych klasztorach, kiedy nie umieli czytać nawet duchowni, wodzowie i panujący, — wówczas wszyscy Żydzi uczyli dzieci swe czytać, pisać i mądrości książkowej. Obecnie nauczanie powszechne stało się, lub staje dobytkiem wszystkich narodów europejskich i jest jedną z najważniejszych podwalin społeczeństw współczesnych. Mieszkając już podówczas w rozproszeniu, nie żyjąc wielkiemi masami, Żydzi po upadku państwa Rzymskiego nie władali i nie mogli zawładnąć określonym obszarem ziemi; na władaniu zaś ziemią oparty był cały ustrój Średniowiecza. Dla nich więc nie było miejsca w tym ustroju, i byli oni zmuszeni snuć nić tradycji tej kultury starożytnej, która znalazła wyraz najwyższy w państwie Rzymskim (sic). Do tego typu życia doszły po długich podróżach i narody europejskie. I w tym właśnie jest tryumf Izraela.»

Cały ten, pełen skromności okres «historycznych» rozumowań wiedzie Bikermana, jak słup ognisty, do wniosku, że «państwo współczesne, o ile jest rzeczywiście współczesne, dla nikogo nie może być tak drogie, jak dla Żyda».

Ocenić znaczenie państwa, jako «zamkniętego w sobie świata wartości, jednakowo cennych dla wszystkich narodów Rosji» — dla Żyda jest zadaniem — nie tylko nie trudniejszym, lecz łatwiejszym, niż dla rdzennego obywatela Rosjanina.

Czyli: Żyd, jako Żyd, nie jest gorszym Rosjaninem od Rosjanina. Przeciwnie, powiada p. Bikerman: tylko Żyd być może Rosjaninem prawdziwym, prawdziwym obywatelem Rosji.

II. Zmarły niedano w Galicji marszałek Adam hr. Gołuchowski, pan piętnasto-miljonowej fortuny, zostawił, jak wiadomo, jeden jedyny legat: 10 tysięcy koron na bursę żydowską w Husiatynie...

Dbając natomiast o splendor imienia, sprawił ostatnią swą wolą, że cały ogromny majątek skupił stę w jednych ręku. Prawdziwy magnat! Jak wiadomo, patrjotyzm rodowy w Polsce zawsze górował wysoko ponad patrjotyzmem narodowym...

Powstał jednak dokoła tak szczególnego zapisu rumor niemały i niezbyt pochlebny. Zakłopotany spadkobierca, chcąc położyć kres niemiłym komentarzom, rozpowszechnił dwie wiadomości: przedewszystkim, że osobliwy zapis pochodzi z kapitałów, specjalnie w tym celu przekazanych nieboszczykowi hrabiemu przez jednego z arendarzy, a następnie, że możny ród Gołuchowskich zamierza ofiarować na cele publiczne dziesiątą część spadku czyli półtora miljona koron.

Ta ostatnia pogłoska nie sprawdziła się dotąd, ale za to pierwsza została potwierdzona w sposób nader sensacyjny. Oto rodzina wspomnianego arendarza twierdzi, że hrabia istotnie na bursę żydowską w Husiatynie przekazał pieniądze które w tym celu był otrzymał i którymi obracał przez lat kilkanaście.

— A co się stało z procentami za ten cały czas? — pytała owa rodzina, nie doczekawszy się zaś odpowiedzi, występuje na drogę sądową...

To wszystko, jak się zdaje, magnackiemu domowi nie przysporzy bynajmniej «splendoru» o który nieboszczyk hr. Adam tak skrzętnie zabiegał. Przeciwnie: cała ta skandaliczna sprawa będzie nowym przyczynkiem do historji niedoborów moralnych i obywatelskich arystokracji polskiej.

III. Redaktor Kleinfeld, który z Nowych Aten przeniósł się do Warszawy i dzięki hojnym zasiłkom firmy Hammerszlag i S-ka założył pismo «postępowe»—biedził się pewnego dnia nad artykułem, gdzie nieprawość i dzikość i sromotę Polaków smagał wzniosłymi słowy.

I zdrzemnął się pan Kleinfeld nad arkuszem papieru i przyśnił mu się sen rozkoszny. Śniło mu się mianowicie, że naród polski, poruszony do głębi serca kazaniem pana Kleinfelda, zawstydził się swej dzikości, przerwał bojkot, odbieżał swych kantorów i sklepów i pokajał się z wielką skruchą.

Zapanowała święta zgoda «dwóch wielkich narodów» zamieszkałych na polskiej ziemi. I trwała ta piękna harmonia długie lata. Gdy już domy, fabryki i sklepy znalazły się bez wyjątku w rękach żydowskich, gdy Żydzi opanowali miasta i wsie, banki i koleje, pisma i związki, kooperatywy, szkoły, kluby — Izrael podniósł przyłbicę...

Wyjrzała z pod niej twarz nadęta srogością i pychą; zagrzmiał chrapliwy głos, podobny do głosu pana Zdzisława Birnbauma, który pewnej starej kobiecie, ujmującej się za synem, wydalonym z orkiestry, rzucił pamiętne słowa: — Syn pani jest antysemitą! Tacy nie powinni żyć! Takich matki rodzić nie powinny!

I padł postrach na cały «przywiślański» kraj; chyląc korne czoło każdy Sarmata bladymi wargami przysięgał, że nigdy, jako żywo, nie było w jego rodzinie żydożerców.

Mimo tych zapewnień srogie oblicze wydęło wargi i zmarszczyło brew gniewliwie...

Nastał okres niebywałych rygorów. Ustanowiony w Ratuszu nadzwyczajny *Komitet Ocalenia Sjonu* tropił, śledził i więził podejrzanych, sprawował sądy i ferował wyroki, przy których terror Fouquier-de-Tinville'a był nizwinną igraszką. Biblioteka Publiczna poszła z dymem: zadużo było w niej książek i pism antysemickich. Dom, który mozołem wielkim dźwignął był na swej *Roli* nieboszczyk Jan Jeleński, zrównano z ziemią. Gmach, gdzie mieściła się *Myśl Niepodległa*, wysadzono w powietrze. Przetrząsano po nocach mieszkania; przestępców, zdybanych na lekturze ksiąg zakazanych, tracono sposobem biblijnym: pogrążonych po pas w płynnym kale duszono sznurami. Prowodyrów dawnego «bojkotu» spotkał zasłużony los: Dmowskiemu zalano gardło roztopionym ołowiem, Sadzewicza obdarto ze skóry, Świętochowskiego wpleciono w koło, Niemojewskiego rozerwano końmi, Grabowskiego spalono żywcem, Jeske-Choiński został poćwiartowany, z Moszczeńskiej darto pasy, wreszcie piszącego te słowa powieszono na suchej gałęzi, później utopiono w łyżce wody, wyżętej z artykułów pana Kleinfelda w końcu wbito na pal, wystrugany z drewnianej i tępej prozy pana Kempnera...

— Niedość tego wszystkiego, niedość!!—zawył w uniesieniu pan Kleinfeld... i obudził się nagle.

Osowiałymi oczyma potoczył dokoła, i drapiąc się w głowę z irytacją, zaklął z cicha:

— A więc to był sen! To tylko sen! Szkoda...

HELION.

Skry.

Sztuka, chcąc dać istotę życia i przyrody, naśladuje życie i przyrodę, tym właśnie usiłowaniem skazując się na klęskę i zawód: boć przecie istota życia i przyrody polega na tym, że nie naśladują one niczego.

* * *

Przyjaciele nieraz bywają nam potrzebni na to, aby drąc z nich pasy, dowieść, że nie obca nam jest cnota bezstronności!

* * *

Artysta jest to człowiek, którego najłatwiej bywa zranić, ale najtrudniej — zabić.

M. DĄBROWSKA.

Linje oporu.

1.

Największym każdego przedsięwzięcia niebezpieczeństwem bywa wstydliwość wobec niebezpieczeństw.

Wobec tych, z trudem w duszy dających się odszukać niebezpieczeństw, które źródło swe mają w słabości, w brakach i załamaniach charakteru przedsiębiorącego. Wstydliwość tę dostrzegam często zarówno w indywidualnych, jak zbiorowych wysiłkach polskich.

Za nią idzie krok w krok kłamny szych, którym się złoci sprawę, by tłum nie dojrzał, wijącego się wewnątrz robaka-podjadka. Dowodzi to wszystko, że sprawa przedsiębrana płytko jeno w duszy osiadła, że się w nią niby ziarno w glebę nie wdrążyła — że nie czując się na siłach do walki z żadną naszą wewnętrzną pokusą czy słabością — — głośno i hucznie kłamiemy jej brak — lub perfidnie — gdy nas podejrzewają — to co zbrodnią jest naszej duszy, do wyżyn zasługi podnosimy.

Tak Skrzynecki głośno krzyczał ongi o zasługach swojego kunktatorstwa — przeczuwając, że mu prosta dusza żołnierza ciężkim zarzutem niedołęstwa w oczy bryznie — prawdę odkrywając.

Tak manił Polskę świetną teorją „menueta“ — odwodząc baczność ludzi i swoją własną od strasznej swej nieudolności, od głuchej pustki, tkwiącej w jego duszy tam, gdzie powinno być męstwo, decyzja i uczciwość wobec złożonego mu w ręce zaufania narodu.

2.

Jeżeli chodzi o poszczególnego człowieka i o jego drobne codzienne sprawy, mówi się o tego rodzaju objawach jak o meskinerji, bladze, zasypywaniu oczu piaskiem.

Dobrze, ale jeśli się to objawi w zbiorowych czynach narodu — czyż domyślimy myśl do końca na tyle, by śmiało powiedzieć że w wielkich rzeczach, w rzeczach Narodu — grozi nam meskinerja blaga, zasypywanie piaskiem oczu dziejom świata — Czy starczy nam wielkości duszy na to wyznanie?

Czy raczej zjawiska „Skrzynecki“ nie osłonimy dymem kadzideł, by nie dostrzeżono, że w nim tkwiło niebezpieczeństwo — którego należy się strzedz?

Oh! zrzućmy nareszcie tę nie licującąz z powagą naszych zadań „psią blagę,“ i patrzmy twarzą w twarz nie tylko zagadnieniom, ale i naszej duszy.

Bo nie w zagadnieniach ani z zewnątrz nich największe leżą niebezpieczeństwa, ale właśnie wewnątrz nas. Im większe przedsięwzięcie, do którego zmierzamy, im cięższe zadanie, tym odważniej, prościej, tym bardziej bezpretensjonalnie i szczerze spójrzmy w głąb naszych dusz i wyplenimy z nich niebezpieczeństwa chwasty — które sprawom nie pozwalają wrastać w życie nasze głęboko i nieśmiertelnie. —

3.

Stoimyż my dziś przed wielkim jakimś przedsięwzięciem, przed nieśmiertelną sprawą?

Pono tak.

Czyta się o tym między wierszami i w wierszach pism różnego odcienia. Mówi się o tym śród znajomych. Rozprawia o tym z przyjaciołmi. Sprzęga ta myśl ludzi wczoraj jeszcze obcych sobie, tkwi na dnie wspólnie zaczynanych robót.

Myśl przebudowy życia jest tą myślą. Przewartościowanie przesłanek, na których dotąd budowaliśmy wnioski życia, jest tym przedsięwzięciem.

Wyoraliśmy szyszak z koroną z jednego pola — a nad drugim schyliliśmy się w rzeźkim trudzie, by pleć chwasty, by drogi równać i nawóz dziczyzny z przed chałup naszych umiatać. Wznowić chcemy zaniedbaną od pół wieku i więcej stronę życia narodowego — jego fizyczną sprawność.

Zbogacić chcemy rodzaj pracy pozytywnej—i do prac Sejmu Czteroletniego nawiązując, własnemi ją stworzyć rękoma—wydrzeć ją z rąk cudzoziemców i do naszych zastosować potrzeb.

Na tych dwóch ramionach ma dźwignąć się nasza sprawa.

Ale nie na ich wzajemnej rozbieżności, nie na ich płytkim wzajemnym się zwalczaniu, jeno na ich wspaniałej życiodawczej *syntezie.*

4.

Poczynając tę pracę wielką, bardziej niż kiedykolwiek musimy pamiętać, że na początku każdego dzieła jest *charakter* jego twórców — i on wartość dzieła określa.

To, czym się określimy w czynie jako zbiorowy charakter, stanowić będzie o tym, zali istotnie przewartościujemy kategorje naszej pracy politycznej, społecznej i ekonomicznej — zali zdolni będziemy stworzyć ową syntezę.

Lub czy też będziemy potrafili tylko nową złudę pracy stworzyć (jak złudą były pozytywizm warszawski i polski socjalizm), nową blagę i nową kłótnię dwóch obozów, zakrzykujących własne braki kwestją: „co jest bardziej Polsce potrzebne, pozytywizm czy polityka potęga ekonomiczna, czy sprawność cielesna?“

Podczas gdy ona *jednego* i *drugiego* wciąż próżno będzie łaknąć — bez jednego i bez drugiego wciąż będzie umierać.

5.

To też nigdy nie jest dość znać postulaty, skazy, załamania i cechy naszego zbiorowego i indywidualnego charakteru. Toż jego braki są właśnie niebezpieczeństwami każdego naszego przedsięwzięcia.

Te braki znając i pleniąc, odnaleźć musimy przecie zdrój cnót, nie tych cnót zbytkownych, na pokaz jakby posiadanych, ale tych, które do budowy i wydźwignięcia z upadku naszego życia tak są nieodzowne, jak dwie ręce i kielnia murarzowi.

D. n.

AWICZ.

Współczesna Austrja.

Powierzchownemu nawet obserwatorowi życia współczesnej Austrji rzucić się muszą w oczy trzy charakterystyczne zjawiska, królujące w monarchji naddunajskiej: militaryzacja państwa i społeczeństwa, niebywały wzrost nędzy i upadek ekonomiczny, oraz coraz jaśniejsza tendencja do odrodzenia absolutyzmu. Zjawiska te łączą się z sobą przyczynowo, a ostateczne źródło tkwi w zagranicznej polityce monarchji. Państwo czuje swoje niedomagania wewnętrzne: nie dające się rozstrzygnąć w żaden sposób pokojowy spory narodowościowe, zaostrzające się automatycznie wraz z rozwojem oświaty i uświadamiania narodowego ludów monarchji tudzież zastraszający upadek siły gospodarczej państwa, b dący wynikiem ściśle agrarnej polityki finansowej i braku współmierności między wielkomocarstwowymi protensjami, a rozwojem ekonomicznym społeczeństwa. Nie mogąc zaradzić tym brakom, godzącym w sam byt państwa na drodze polityki wewnętrznej, przerzucił rząd austryjacki punkt ciężkości swojej polityki na zewnątrz i to jest genezą współczesnego imperjalizmu austryjackiego, podporządkowującego sobie powoli, ale stale całe życie państwowe.

Od zwycięskiej dla Austrji kampanji dyplomatycznej 1909 r. rósł imperjalizm austryjacki, przeobrażając wewnętrzną i zewnętrzną politykę państwa. Wszystko zostaje podporządkowane względom na potęgę, a właściwie na *pozory* potęgi państwowej. Na wewnątrz chodzi już tylko o możliwie największy rozrost sił zbrojnych, choćby kosztem ruiny ludności i o niezaznaczanie się separatyzmów narodowych. Cel ten osiąga się dwoma sposobami: bądź daje się ludom „niezadowolonym“ daleko idące ustępstwa kosztem „zadowolonych“ — tak powstała t. z. ugoda polsko-ukraińska i nieudała próba ugody węgiersko-rumuńskiej, bądź łamie się separatyzm „niezadowolonych“ represjami, stanami wyjątkowymi, procesami o zdradę stanu,

a gdzie się tylko da — pieniądzem. Ta druga metoda kwitnie w całej pełni w krajach węgierskich i połączonych z Węgrami, słowiańskich, ale nieśmiało weszła już w użycie i w Przedlitawji, w postaci zawieszenia autonomji Czech i skandalicznej sprawy najęcia przez rząd w celach prowokatorskich posła Svihy, prezesa najskrajniejszej partji czeskiej. Ta druga metoda okazała się dla samego rządu szkodliwszą niż dla tych, przeciw którym ją wymierzono, i pod tym względem rząd chętnieby swoją dotychczasową politykę zlikwidował, gdy mógł tak łatwo usunąć u dotyczącej ludności wzburzenie, jakie wywołał.

Na zewnątrz zaostrzyła imperjalistyczna polityka austryjacka antagonizmy, które istniały już dawniej i wywołała nowe. Wszystkie te czynniki postawiły monarchję habsburską w położeniu bardzo niebezpiecznem i zmusiły ją do wytężenia wszystkich swoich sił w kierunku wyłącznego rozwoju siły militarnej państwa. Trzykrotne w pięciu latach reformy wojskowe podwoiły prawie liczebną siłę zbrojną Austrji i zaopatrzyły ją świetnie, nastrój społeczeństwa stał się wojowniczym i wcale pokaźnie rozwinęła się flota wojenna. Ponieważ jednak monarchia ani pod względem liczby swojej ludności (nie wiele ponad 50 miljonów), ani zasobów pieniężnych, zwłaszcza wobec nad wyraz marnej gospodarki finansowej, nie może się równać ze swoimi przypuszczalnymi przeciwnikami, spowodował rozrost militaryzmu, z każdym rokiem coraz silniej dające się odczuwać, wyczerpanie ludności. W stosunku do liczby ludności zajmuje dziś Austrja drugie, po Francji, miejsce w procencie ludności służącej wojskowo, ale pod względem stosunku ciężarów finansowych, na rzecz armji, do majątku narodowego, pozostawiła nawet Francję daleko za sobą.

Ponieważ jednak nawet najbezwględniejsze obciążenie podatkowe ludności i największa oszczędność na cele kulturalne i inwestycje ekonomiczne nie jest w stanie pokryć zapotrzebowań wojskowych, rosnących lawinowo, musi się uciekać zarząd finansów do sztukowania budżetu co rok (obecnie nawet jeszcze częściej) zaciąganemi pożyczkami i brać je gdzie tylko dadzą i na jakibądź procent. 4% renty austryjackie spadły od r. 1909 z 98 na $82^1/_2$ i nie mogą mimo wszystkich wysiłków rządu odzyskać nawet kursu, który miały w najgroźniejszych dla pokoju chwilach r. 1912. Udzielane łaskawie w Niemczech, na lichwiarski procent, pożyczki uzależniają Austrję oczywiście jeszcze silniej od potężnego sojusznika i protektora, niż by to z samej sytuacji politycznej wynikało.

Korzystając z zależności swojego sprzymierzeńca, wypierają Niemcy cicho, ale systematycznie eksport austryjacki z wszystkich rynków bałkańskich, jedynych, ku którym mogą się towary austryjackie zwracać. Eksport austryjacki maleje też tam nietylko procentowo, ale bezwzględnie, a pierwsze skrzypce w organizowaniu bojkotu dzierży „nieoficjalny“ reprezentant naszego sojusznika w „błyszczącej zbroi“ — ekskonsul Schlieben. Bilans handlowy monarchji do r. 1908 czynny, pogarsza się z roku na rok i jest już biernym na $^1/_2$ miljarda koron rocznie; w ostatnim roku polepszył się wprawdzie nieco, ale tylko dzięki zmniejszeniu się dowozu, co jest widomym znakiem malenia siły konsumcyjnej ludności. Brak płynnej gotówki, utrata rynków zewnętrznych i kurczenie się wewnętrznego wywołały od dwu blisko lat trwający kryzys przemysłowy. Ruch budowlany ustał zupełnie. We Lwowie np. liczba konsensów na budowle wynosząca zwykle 150—350 spadła w roku ubiegłym na 49, a w 3 pierwszych miesiącach roku bieżącego na 2. Nie o wiele lepsze są stosunki w innych gałęziach przemysłu i innych miastach monarchji. Wśród warstw robotniczych panuje skutkiem braku pracy przerażająca nędza. Liczba bezrobotnych dochodzi w samym Lwowie do 8000. Kwalifikowany murarz uważa za łaskę, jeśli zostanie przyjęty jako pomocnik z $^1/_8$ dawnej płacy. Dodać przytem należy, że z powodu agrarnej polityki celnej i najwyższych w Europie podatków konsumpcyjnych panuje w całem państwie szalona drożyzna. Raz po raz wybuchają przeto w miastach rozruchy głodowe. We Lwowie bezrobotny tłum rzucił się na stragany z pieczywem i to dopiero zmusiło rząd do rozpoczęcia budowy kilku gmachów, na które już od kilku lat były uchwalone kredyty.

W jednym dniu zdarzyły się we Lwowie dwa samobójstwa kupców z powodu bankructwa i dwa samobójstwa bezrobotnych z nędzy. Na wsi wywołał nieurodzaj głód. W niektórych okolicach wschodniej Galicji chłopi żyją dziś burakami pastewnymi. Tłumy sezonowych wychodźców, które ruszyły do jedynego kraju, do którego rząd iść po zarobek pozwala, to jest do Prus, nie znalazły tam zajęcia i tysiące, przeważnie rusińskich, chłopów zalegało okolicę dworca krakowskiego, myślenickiego i bogumińskiego, nie mając czem zapłacić biletu powrotnego do domu; wielu umiera z wycieńczenia i tyfusu głodowego, a inni, wytrzymalsi i energiczniejsi, wracają dziesiątkami mil piechotą o żebranym chlebie. Niedawno zmarła we Lwowie z głodu wraz z dzieckiem kobieta, którą się aż tu dowlokła od pruskiej granicy.

Głód, który panuje dziś w Galicji, nie powstał jednak z samego nieurodzaju. Złe lata mieliśmy często, a nigdy nie było od kilkudziesięciu lat przynajmniej, podobnej katastrofy. Srożej może od nieurodzaju ugodziła w naszą ludność wiejską nowa ustawa emigracyjna. Wobec prymitywnej gospodarki, panującej dotąd we wsi galicyjskiej i rozdrobnienia gruntów, spowodowanego szybkim rozmnażaniem się ludności wiejskiej, wyjazd z kraju na roboty polne do Prus, Francji i Danji i stała lub czasowa emigracja za ocean stały się gospodarczą koniecznością. Wbrew jednak ustawom zasadniczym wydał rząd rozporządzenie, wzbraniające emigracji wszystkim mężczyznom od 18 do 43 roku życia. Kto nie uzyskał specjalnego pozwolenia w starostwie, a wytropiony został w drodze, ma być odstawiony do miejsca przynależności. Przepis ten stosowany jest z tak drakońską surowością, że często żandarmi aresztują nawet chłopów, którzy w innym powiecie szukają zarobku. Nawet służba kolejowa obowiązaną jest do uczestnictwa w tej obławie na emigrantów.

Istnieje jednak w Austrji interes, wobec którego schodzą na bok wszelkie inne, nawet wszechwładnego militaryzmu: interes sojuszni-

czego opiekuna: a gdzieżby junkrzy pruscy, rządzący Niemcami, znaleźli taniego robotnika, gdyby ustał dopływ polskich i rusińskich chłopów? Kto jedzie pod opiekę agentów pruskich bezpieczny jest od wszelkich szykan władz austryjackich.

W roku więc nieurodzaju, gdy nadto sztucznie skierowano do Prus jedynie całą falę ludzką, która dotąd odpływała za ocean, powstała w Niemczech tak olbrzymia przewaga podaży rąk roboczych nad popytem, że tylko część znalazła zatrudnienie, a reszta tuła się po stacjach pogranicznych, lub wraca pieszo do domu. W ten sposób rozporządzenia emigracyjne załatwiły sprawę ku zobopólnemu zadowoleniu; Austrji nie ucieknie za morze żaden rekrut, ani rezerwista, a Prusakom nie zabraknie sił roboczych po cenie, jaką raczą naznaczyć. Wygłodniały chłop galicyjski przyjmie przecież wszelkie warunki, aby nie umrzeć z głodu. „Społeczeństwo" galicyjskie milczy: polskie z kurtuazji dla Austrji, a ukraińskie — dla Prus.

Wogóle zamyka się dziś u nas oczy, ze względu na tabu prestige'u mocarstwowego, na bardzo wiele rzeczy. Ku większej chwale absolutyzmu i rosnącej z nim w parze korupcji, uważa się za zdradę — wszelką krytykę. A przecież mizerne prawa konstytucyjne łamane są stale, nowe ustawy wojskowe, kolejowe i fiskalne wydane zostały w sposób jawnie sprzeczny nawet z kauczukowym § 14 konstytucji. Parlament stracił resztki powagi i rząd zupełnie się bez niego obywa, motywując swoje zarządzenie „prawem konieczności państwowej" mającem wypływać z ustawy z r. 1713! Tak nam przynajmniej „wyjaśnił" Najwyższy Trybunał Administracyjny bezprawne zniesienie autonomji Czech.

Słuszność każe przyznać, że parlament wiedeński sam winien w lwiej części podkopaniu swojej powagi. Korupcja zapanowała w nim wszechwładnie, a przeciwne stronnictwa wyłapują grzeszki przeciwników nie dla zdemaskowania przedajnych posłów, ale dla zdobycia broni, którą się zamknie adwersarzowi usta, gdy zechce wyciągnąć na światło dzienne własne sprawki. Skandale idą więc zawsze parami: sprawa Stapińskiego wywołała natychmiast sprawę Długosza, prowokatora Swihę zdemaskowali młodoczesi dopiero wówczas, gdy radykali udowodnili im defraudacje w magistracie praskim, choć o szpiegostwie Swihy wiedzieli od długiego czasu. Kiedy podczas afery „Długosz i Stapiński" zażądali socjaliści śledztwa, kto wogóle brał pieniądze od rządu, nastąpiło odrazu zbratanie zwalczających się kierunków i narodów: posłowie klerykalni i liberalni niemieccy i czescy, polscy i ruscy, włoscy i południowo-słowiańscy, wszyscy solidarnie sprzeciwili się śledztwu. Oczywiście wielu, większość może, jest uczciwych, ale nikt nie był pewny kolegów, wszystkie kluby bały się możliwych kompromitacji. W parlamencie węgierskim panują jeszcze gorsze stosunki. Tu cały rząd bezprawnie i korupcyjnie wybranej większości jest jednem pasmem korupcji i bezprawia. Gdy sąd stwierdził, że prezydent ministrów Lukacs popełnił tak grube malwersacje, ża można go nazwać „największym panamistą Europy" większość rządowa urządziła mu w izbie — cyniczną owację.

Na całokształt stosunków austrjackich nie mogą zamykać oczu Polacy, dla których Austrja przêdstawia dziś jedyne azylum, gdzie swobodnie rozwijać się może polska kultura, w bycie jej są więc żywo zainteresowani. Ale pod tym względem panuje dziś u nas w Galicji, zresztą i w całym państwie, polityka strusia: choroby państwa stara się leczyć przez ich zamilczanie. Krytyka stała się lękliwa, ponieważ każdy boi się hojnie szafowanych podejrzeń o działalność na rzecz ościennego mocarstwa, a denuncjatorstwo partyjne i osobiste panoszy się u nas tak bujnie, jak nigdy, nie wywołując żadnych reakcji. Siły wewnętrzne w narodach austrjackich są jeszcze wielkie, byleby usunąć straszny stan ekonomiczny i znieść system absolutystyczno-korupcyjny. Ale dziś za szczyt patryotyzmu uchodzi przedstawianie stosunków państwowych w świetle możliwie różowym, a szczerzy nawet przyjaciele Austrji w naszym państwie nie zdają sobie sprawy, że zwycięski imperjalizm oparty być może tylko na zdrowiu materjalnym i moralnym, nie zaś na pozorach zdrowia.

J. PAPINI.

Szatan mi powiedział.

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

Przez całe życie swoje rozmawiałem z Szatanem tylko pięć razy; wszelako śród wszystkich, którzy dziś żyją, jestem napewno tym, z którym największa wiąże go zażyłość i który zna go najlepiej. Zachowuje się on wobec mnie, — twierdzę to z niejaką dumą, której skrywać nie myślę, — z pewnego rodzaju dobroduszną pobłażliwością, która nieraz doprawdy przyprawiała mnie o wzruszenie. Gdy jestem razem z nim, nie odzywam się wcale: słucham tylko. A raczej: słucham go i patrzę nań. Szatan, przynajmniej w tej postaci, w jakiej widywałem go dotąd, jest osobą nietuzinkową. Wzrost ma słuszny, twarz bladą: zdaje się być jeszcze młody, ale młody tą młodością, która przeżyła nazbyt wiele, i posępniejsza jest, niźli starość. W jego twarzy niesłychanie białej, pociągłej, przykuwają do się uwagę tylko usta: delikatne, zwarte i zacięte, — oraz zmarszczka jedna, głęboka i samotna, pionowo wznosząca się z pomiędzy brwi i ginąca niemal aż u korzenia włosów. Nigdy nie mogłem zdać sobie sprawy, jaką właściwie barwę miały jego oczy, gdyż niepodobna było patrzeć w nie dłużej nad sukundę, i nie wiem nawet, jakiej barwy są jego włosy, gdyż wielki beret jedwabny, którego nie zdejmuje nigdy, osłaniał je szczelnie. Ubiera się przyzwoicie, zawsze w kolor czarny, na rękach nosi zawsze niepokalane rękawiczki.

Myśl zjawienia się na ziemi powziął

w czasach obecnych bez przykrości. Razu pewnego wyznał mi ze smutkiem:

— Ludzie dzisiejsi przestali mnie zajmować. Dają się kupować tanio, ale też i wartość ich coraz mniejsza. Brak im miazgi w kościach, brak im ducha, brak im tchu: może nawet nie stałoby im krwi dość czerwonej dla podpisania cyrografu.

Pomimo to, od czasu do czasu, gdy nuda go ogarnie w jego nazbyt gorączkowym świecie, wraca między nas. Nikt wprawdzie tego nie spostrzega, ponieważ ludzie go już nie poznają, i przechodzą obok niego, jak obok swego bliźniego, uśmiechając się nieraz i uchylając kapelusza ruchem budzącej strach pewności siebie. Lecz ja rozpoznaję zawsze *brózdę* jego przejścia, i szukam chętnie jego towarzystwa. Rozmowa z Szatanem należy do najpożyteczniejszych i najcudniejszych rzeczy, jakie znam; do rzeczy, które pozwalają nam głębiej zrozumieć świat; zwłaszcza ten świat, który w nas istnieje: więcej warta jest w tym względzie od niejednego cienkiego lub grubego tomu traktatów propedeutyki filozoficznej, znajdujących się w książnicy uniwersyteckiej w Heidelbergu.

Nie spotkałem nigdy istoty wyrozumialszej nad Szatana. Zna on tak dobrze wszelkie nadużycia, zbrodnie, oszustwa, brudy i załamania człowiecze, że nic go nie dziwi, nic nie oburza. Jest spokojny i pogodny, jak mędrzec starożytny, i czasami zdaje mi się być chrześcijaninem lepszym, niż wszyscy chrześcijanie świata. Przebaczył on nawet *Temu*, który go potępił i przepędził precz. Gdy mówi o tym, uznaje, że Wszechmocny postąpił sprawiedliwie, strącając go z niebios, ponieważ żaden monarcha nie może znieść, aby pod bokiem jego istniały stworzenia nadto nieokiełznane i dumne.

— Gdybym ja na jego był miejscu, — rzekł mi kiedyś, — skazałbym powstańca na karę okropniejszą. Wydałbym go męki bezczynności, na nieruchomość. Bóg zaś łaskawą okazał względem mnie wspaniałomyślność, pozwalając mi zająć się tym, do czego byłem najzdatniejszy. Jakkolwiek dzisiaj zniechęcony jestem nawet do własnej działalności, przecież nie mam do skargi powodu: czułbym się o wiele bardziej zniechęcony na łonie szczęśliwości niebieskiej.

Ożywia go, nawet względem ludzi, pewnego rodzaju wyrozumiałość cokolwiek ironiczna, nie pozbawiona, trzeba to przyznać, zdecydowanej pogardy, którą nie zawsze udaje mu się ukryć. Ze swego niejako urzędu, jest on dręczycielem ludzi, wszelako czas złagodził w nim dzikość i okrucieństwo. Nie jest już owym drapieżnym i potwornym djabłem średniowiecza, ogoniastym i rogatym, który zakradał się do klasztorów, aby łechtać dziewice, lub na pustyni żądze gorączkowe niecił w świętych i wyznawcach.

Spostrzegł on teraz, że kuszenie jest rzeczą zupełnie zbyteczną. Ludzie grzeszą z własnej woli, samorzutnie, bez przymusu, bez ulegania podszeptom lub namowom. Zostawia ich w spokoju, a oni toczą się ku niemu, jak toczy się woda po pochyłości. Nie uważa ich przeto za wrogów do zwalczenia, ale za wiernych i posłusznych poddanych, którzy przypadającą na nich dań płacą bez oporu. Wyrosła w nim, dzięki temu, ku nam — ku całemu rodzajowi ludzkiemu — pewnego rodzaju litość, nie niwecząca zresztą pogardy, ale ją osłaniająca. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu ostatnia z nim rozmowa, w której wyjawił mi on rzecz, posiadającą wartość niewątpliwą dla tych wszystkich, którzy sięgają *wzwyż* i *wdal*.

***

Spotkałem go ostatnim razem na jednej z tych dróg samotnych, które okalają Florencję, wtłoczone między szare mury, z poza których wyglądają gałązki oliwne. Szedł, czytając jakąś książkę oprawną w czerń, i uśmiechał się sam do siebie, jak tylko on uśmiechać się potrafi. Zbliżyłem się doń: zaledwie mnie spostrzegł, zamknął książkę, ujął mnie za ramię i począł mówić:

— Od wieków znam to dziełko: jest to Biblja; czytuję ją od czasu do czasu, kiedy chcę się ubawić. Ta, którą czytam obecnie, jest napisana po angielsku; spostrzegłem, że angielszczyzna nadaje się przedziwnie do Starego Zakonu, gdy tymczasem język włoski bardziej odpowiada Nowemu. Czytałem właśnie, poraz tysiączny, początkowe rozdziały *Rodzaju*; domyślasz się pan zapewne, dlaczego. Gram w nich rolę poważną, a prócz dumy — nie zapominaj pan o tym — mam też w sobie odrobinę próżności. Sprawia mi to przyjemność, gdy widzę siebie w pięknej łusce węża, owiniętego wokół drzewa, jak na starych rycinach, gdy wznoszę swą głowę czarniawą ku nagiemu i prężnemu ciału rozkosznej Ewy. Lecz niepowetowana stała się szkoda, że historja kuszenia została tak opacznie zmieniona przez niewolniczych dziejopisów Boga. Noszę się z .myślą, aby kiedykolwiek, gdy mi czasu zbiegnie, sporządzić poprawione wydanie Biblji, i nie tylko poprawione, ale i uzupełnione, ponieważ święci i pobożni pisarze nie mieli odwagi zbyt często przytaczać mego imienia i pominęli niejedno z mych najlepszych przedsięwzięć. Wracając do kuszenia, powtarzam, drogi przyjacielu, że opowieść blibijna bezczelnie została skłamana. Nie mówiłem o tym żadnemu człowiekowi, sądzę jednak, że pan jesteś tym, przed

którym można odsłonić rzeczy, do jakichby żaden z ludzi wznieść się nie zdołał. Wyznam więc panu, że nie byłem, w słowa istotnym znaczeniu, ani kusicielem, ani oszustem. Kiedym zwracał się do Ewy z namowa, aby sięgnęła owocu zakazanego, nie zamierzałem bynajmniej powodować upadku ludzkiego. Jedyną moją myślą była chęć odwetu na Jehowie, który, jak mniemałem podówczas, postąpił ze mną niegodnie. Chciałem tedy stworzyć mu współzawodników w potędze i nie kłamałem zaiste, mówiąc do Ewy: Jedzcie owoce z tego drzewa, a *będziecie jako Bogowie*. Mówiłem, zaręczam panu, czystą i szczerą prawdę. Istotnie, drzewo zakazane było drzewem mądrości, drzewem wiadomości, nie tylko dobrego i złego, jak chcą Żydzi, ale także prawdy i błędu, rzeczy widzialnych i niewidzialnych, nieba i ziemi, ciał i duchów. A pan, drogi przyjacielu, rozumiesz to, iż *wiedza* daje *potęgę*, i że być Bogiem to właśnie znaczy posiadać wiedzę i potęgę. Dlatego też bynajmniej nie chciałem ludzi uwodzić, gdym wskazywał im sposób, w jaki mogliby byli stać się podobni Jehowie. Zależało mi na tym, aby im się powiodło, gdyż liczyłem na ich pomoc w walce o odbój nieba. Poznaję z oczu pańskich, iż pragniesz mnie o coś zapytać: wiem o co. Jak się stało, mianowicie, że Adam i Ewa, aczkolwiek pokosztowali owocu zakazanego, nie stali się Bogami, przeciwnie zaś, zostali wygnani przez swego Boga z pięknego ogrodu? Wyjaśnię pokrótce, jeśli pozwolisz, tę pozorną tajemnicę. Ewa, w zawierusze chwili, nie zauważyła, że jabłek na drzewie było mnóstwo i że były rozmaite, i nie słyszała tego, com jej powiedział, mianowicie: nie dość jest spożyć kilka, *trzeba oberwać z drzewa wszystkie owoce*, aby zdobyć wiedzę całkowitą. Ona, natomiast, zaledwie spożyła jedno jabłko, nie zdobyła się na odwagę, aby zerwać natychmiast wszystkie inne, i stało się, że Jehowa dzięki temu miał dość czasu by dostrzec niebezpieczeństwo i ocalić się wyrokiem, skazującym oboje na wieczne wygnanie. Gdyby Adam i Ewa zjedli byli wszystkie owoce cudownego drzewa, nie miałby już Wielki Starzec siły, by ich wygnać z raju. Stanęliby jako Bogi przeciwko Bogu, i żaden anioł, choćby ognistym uzbrojony mieczem, nie zmusiłby ich do ucieczki. *Bóg dlatego jedynie mógł ich ukarać, że nie spełnili grzechu całkowicie.* Grzech pierworodny ściągnął na się karę przeto, że nie był grzechem dość wielkim. Tak bywa na ziemi zawsze, i nie będę już panu przypominał słynnej rozmowy Aleksandra z rozbójnikiem morskim, aby dowieść, że na zbrodnie małe spada kara, a na wielkie — cześć i uwielbienie. Człowiek tedy, w owym dniu dalekim, stracił sposobność wspaniałą przebóstwienia, ja zaś straciłem jedno z niewielu prawdopodobieństw powrotu do Nieba. Wszelako sądzę, drogi przyjacielu, i mówię ci to otwarcie, aczkolwiek wy, ludzie, nie dajecie wiary radom Szatana, sądzę, że *byłby jeszcze czas po temu*, *byście resztę owoców zerwali z drzewa*, że jeszcze mielibyście czas na to, aby stać się Bogami. Nie pamiętacie już, jakie drogi wiodą do Raju Ziemskiego, lecz ja wiem że nasiona z owego Drzewa rozsiały się po świecie, i że już wschodzą bujnie. Byście jeno wyszukali ich w swych lasach, wychowali i ukształcili, aby raz jeszcze dać mogły owoce. A wówczas, — wierzaj pan swemu staremu druhowi, którego niektórzy sługusi zawistnie usiłują przedstawić jako waszego wroga, — wówczas będziecie mogli jeść dowoli, do syta, moja zaś obietnica się spełni. Chciałbyś pan dowiedzieć się odemnie jakichś poszlak, wskazówek rozpoznawczych, aby drzewa tego odszukać, aby owoce jego odnaleźć? Nie mogę nic panu powiedzieć. Musicie ślad jego wykryć sami, wytrwałością i trudem. Dajcie mi znać natychmiast, skoro je znajdziecie, gdyż wtenczas posłannictwo moje się dopełni i, być może, dobry Bóg z powrotem powoła mnie do siebie.

Głos Szatana, przy ostatnich słowach, zamglił się smutkiem. Zmarszka głęboka i prosta, przecinająca czoło jego pośrodku, wydała mi się jeszcze ciemniejsza. Zatrzymał się na chwilę, jakby nową opanowany myślą; poczym poszedł dalej, w milczeniu, tą samą drogą, patrząc na pierwsze gwiazdy omdlałego nieba.

A. D.

Drzazgi.

Chestertonowi razu pewnego zadano odwieczne pytanie: czy może kobieta dorównać mężczyźnie, czy też jest istotą niższą od mężczyzny?

— Niedorzeczne pytanie! — odparł Chesterton z uśmiechem: — czyż można zastanawiać się nad wyższością mężczyzny nad kobietą? Czyż można porównywać ze sobą tych dwoje? Wszak to tak, jakbyśmy klucz porównywali z zamkiem, pytając, który z tych dwu przedmiotów stoi wyżej?

X. Y. Z.

Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego.

Jedną z największych naszych luk w dziedzinie badania kraju i stosunków krajowych, stanowił dotąd brak systematycznego zestawienia danych cyfrowych, odzwierciadlających statykę i dynamikę społeczną. Brak ten dla naszego kraju był tem dotkliwszy, że jaskrawo uwydatniał nasze zacofanie kulturalne w porównaniu z innymi krajami, oddawna już posiadającymi najrozmaitsze źródłowe wydawnictwa statystyczne, ułatwiające znakomicie orjentowanie się w zjawiskach wszystkich dziedzin życia narodowego. Śmiało rzec można, że trudno sobie wyobrazić naród kulturalny, pozbawiony źródeł statystycznych.

Wydany obecnie przez Biuro Pracy Społecznej „Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego“—pierwszy z szeregu zamierzonych, mających się ukazywać perjodycznie — ma na celu zaradzenie brakowi powyższemu. Wzorowany on jest na analogicznych wydawnictwach obcych, zwłaszcza roczniku niemieckim, pruskim i austrjackim, tudzież rosyjskim i finlandzkim. Z rosyjskim ma tę ważną wspólną cechę, że zawiera oprócz tablic cyfrowych, również krótki tekst objaśniający.

Różnicą zasadniczą pomiędzy Rocznikiem polskim a rocznikami zagranicznemi i rosyjskim stanowi okoliczność, że właściwe roczniki opracowywane są w biurach rządowych na zasadzie danych, również przez organy rządowe dostarczonych; tymczasem nasz „Rocznik“ stanowi owoc pracy prywatnej, wykonanej wszakże na zasadzie danych wyłącznie prawie urzędowych, zgromadzonych o ile się dało jaknajkompletniej z najrozmaitszych źródeł. W pewnej, szczupłej co prawda, mierze mogły jednak znaleźć w nim uwzględnienie i dane nieurzędowe, zaczerpnięte przedewszystkim ze sprawozdań instytucji społecznych, kulturalnych, finansowych i innych. Zwłaszcza dane te zostały zużytkowane w dziale statystyki przemysłowej.

Zawierając dane ostatnie z r. 1912, „Rocznik“ mieści jednocześnie cyfry retrospektywne dla lat dawniejszych, sięgając przy takim np. dziale ludnościowym wstecz aż do r. 1827.

„Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego“ zawiera działy następujące: I. Powierzchnia i ludność. II. Ludność rolna, zarobki, wychodźtwo. III. Własność rolna. IV. Produkcja rolna. V. Przemysł. VI. Handel. VII. Kredyt. VIII. Budowle i pożary. IX. Drogi. X. Skarbowość. XI. Gospodarstwo miejskie. XII. Zdrowotność publiczna i XIII. Szkolnictwo.

Na zasadzie danych, zawartych w „Roczniku“, widzimy, że Królestwo Polskie zajmuje obszar 111,554.2 wiorst kw., czyli 126,955.37 kilometrów kw., co w stosunku do powierzchni Rosji Europ. stanowi 2.6%.

Ludność Królestwa wynosiła w dn. 1/14 stycznia r. 1911—okrągło 12,467,300, co w stosunku do ludności Rosji Europ. stanowi 10.3%, a do ludności całego państwa—7.4%. Na wiorstę kw. przypada w Królestwie 111.8 osób, na kilom. kw. — 98.2 osób. 32.2% ludności Królestwa mieszka w miastach i t. zw. „osadach“ czyli miasteczkach.

75.42% ludności należy do wyznania katolickiego, 0.61% — marjawickiego, 4% — prawosławnego, 5.32% — do wyznań protestanckich, 14.64—mojżeszowego i 0.01%—do innych wyznań.

Do narodowości polskiej zaliczyło się podczas spisu jednodniowego 1897 r.—74.8% mieszkańców, do litewskiej — 3.34%, rosyjskiej (po wyłączeniu wojska) — 1.09%, mało- i białoruskiej—3.57%, niemieckiej — 4.33%, żydowskiej—13.71%.

Przyrost naturalny roczny ludności Królestwa wynosił w r. 1904—15.9‰, przyrost rzeczywisty w latach 1900—1910 przeciętnie—17.0‰.

Najważniejszą gałęzią wytwórczości Królestwa jest rolnictwo. Co do podziału kraju na własność wielką i drobną — przeważa w Królestwie własność drobna (62.4% obszaru)—poniżej 50 ha., przyczym najwięcej jest gospodarstw o obszarze od 3 do 8 ha. (44.3% ogółu gospodarstw). Produkcja zboża w Królestwie wynosiła w r. 1911—205,208.8 tys. pudów netto, czyli przeciętnie 16.47 pud. na mieszkańca.

Po rolnictwie drugiem źródłem utrzymania ludności jest przemysł, skoncentrowany głównie w gub. Piotrkowskiej (Łódź i Zagłębie Dąbrowskie) oraz Warszawskiej (Warszawa). Wartość produkcji zakładów przemysłowych w Królestwie, pozostających pod dozorem inspekcji fabrycznej (436,080.1 tys. rubli, t. j. z wyłączeniem zakładów górniczo-hutniczych oraz warsztatów i drobnych fabryczek) stanowi 15.6% wartości produkcji takich samych zakładów w Cesarstwie.

Pod względem wielkości produkcji na pierwszym miejscu stoi w Królestwie przemysł włóknisty (341,266,000 rb.), następnie spożywczy (154,724,115 rb.), metalowy (110,301,000 rb.), górniczo-hutniczy (60,139,419 rb.), konfekcyjny (47,919,600 rb.), mineralny (30,433,000 rb.), chemiczny (29,831,000 rb.), przeróbki produktów zwierzęcych (29,378,000 rb.), przemysł papierniczy i poligraficzny (25,695,784 rb.) i drzewny (23,215,000 rb.).

Obroty handlu zagranicznego stanowiły w Królestwie w r. 1910 rb. 654,853,589, z czego na wywóz przypada 31,6%, a na wwóz—68,4%. Oczywiście jest tu tylko mowa o ruchu towarowym przez granicę pruską i austrjacką; obroty handlowe z Cesarstwem Rosyjskiem nie wchodzą w rachubę.

Dochody zwyczajne Skarbu Państwa Rosyjskiego w Królestwie Polskim wynosiły w r. 1911 228,363,000 rb., rosnąc przytym z roku na rok stale i nieprzerwanie; w r. 1905 wynosiły one 122,450,000 rb., czyli że przyrost w ciągu lat 7 wyniósł 86%, gdy przyrost dochodów zwyczajnych w całym państwie wyniósł w tymże okresie 45%. Wydatki zwyczajne Skarbu Państwa wzrosły od r. 1905 do 1911 ze 106,699,000 rb. do 124,441,000 rb., przyrost wynosi więc tylko 17%, gdy dla całego państwa stanowi blizko 33%. Królestwo wykazuje znaczne przewyżki skarbowych dochodów zwyczajnych nad wydatkami zwyczajnymi i wogóle dochodów nad wydatkami; w ciągu lat siedmiu (1905—1911) Królestwo Polskie dało Skarbowi Państwa czystego zysku 300,876,181 rb. 59 kop.; zysk ten, wzra-

stając z roku na rok, doszedł w r. 1911 do sumy 103,584,303 rb. 08 kop.

Rozwój opodatkowania bezpośredniego jest zarówno w Królestwie, jak i w całem państwie, stosunkowo słaby; znaczny natomiast jest przyrost opodatkowania pośredniego, tudzież dochodu z przedsiębiostw skarbowych.

Największą rolę w dochodach skarbowych grają w Królestwie opłaty pośrednie, następnie zaś dochód z własności i przedsiębiorstw skarbowych, w końcu wreszcie—podatki bezpośrednie. W całym państwie na pierwszym miejscu stoi dochód z własności i przedsiębiorstw skarbowych, na drugim — podatki pośrednie, na trzecim—bezpośrednie.

Na głowę ludności przypadało w r. 1911 podatków bezpośrednich w Królestwie Polskim—2.32 rb., w Rosji Europ.—1.27 rb., w całym państwie—1.46 rb., podatków pośrednich w Królestwie—10.49 rb., w Rosji Europ.—4.81 rb., w całym państwie—4.91 rb., dochodów z własności i przedsiębiorstw skarbowych w Królestwie — 18.32 rb., w Rosji Europ.—13.25 rb., w całym państwie—17.68 rb.

Różnica w wysokości stosunkowej wpływów podatkowych w Królestwie i Cesarstwie wywołana jest nietylko większym rozwojem w Królestwie przemysłu i handlu, życia miejskiego, intensywnej kultury rolnej i t. d., ale i wyższą stopą podatkową. Najbardziej jaskrawo uwidacznia się to przy podatkach gruntowych, które w Królestwie Polskim wynoszą (r. 1908) na głowę ludności—6.77 rb., w Rosji Europ.—0.11 rb. i w całym państwie—0.25 rb.; na 1 milę kw. przypada tych podatków w Królestwie 3,934.31 rb., w Rosji Europ.—152,43 rb. i w całym państwie—101.72 rb.; na 1 dziesięcinę przypada w Królestwie—0,89 rb., w Rosji Europ.—0,06 rb.

Podatek od nieruchomości miejskich pobiera się w Królestwie w wysokości 10% dochodu czystego. w Cesarstwie—6%.

Jeśli wydatki skarbowe podzielić na prodnkcyjne, t. j. takie, które mają na celu bezpośrednie wzmożenie zasobów kraju, w którym są czynione i wydatki, tego znaczenia nie posiadające, i do pierwszych zaliczyć wydatki min. oświaty, komunikacji, handlu i przemysłu, zarządu głównego rolnictwa i stadn. państw., wówczas otrzymamy dla wydatków tych stosunek 4,7% w porównaniu z całym państwem, a więc znacznie niższy, niż stosunek ludnościowy, i niższy, niż stosunek ogółu wydatków skarbowych w Królestwie do ogółu wydatków w państwie.

Na głowę ludności w Królestwie przypada 2.46 rb. wydatków produkc., a w Rosji Europ.—4.11 rb.

Z zestawienia cyfr tych widać najlepiej jak dalece Królestwo Polskie jest w systemacie gospodarki państwowej upośledzone, już nie pod względem administracyjnym lub politycznym, ale wprost pieniężnym.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Słowacki pisał „Balladynę“ nad Lemanem. Mgły i opary, podnoszące się rankami z nad tafli jeziora, zbudziły w Wielkim Poecie synestezyjną muzykę Goplany. Podnosiły się te opary, kołysały, „jak powiewny liść ajeru“. Z rozwianiem mgieł baszty alpejskie prostowały się nad spokojną taflą nakształt fantastycznych wież kirkorowego zamku; wieczorem baszty te pogrążały się w mgły i czarne kłęby zgęstniałych chmur, z których biją pioruny w szczyty, wyzywające niebo.

Czy nie przegląda taki syntetyczny obraz przez utwór Słowackiego? Przecież Goplana wypływa jak biały, pachnący tuman ze spokojnych wód... następnie zatraca się, rozwiewa... znowu skupia, aby podnieść się sznurem białych chmur-żórawi i okręcić dookoła baszty gnieźnieńskiej, tym razem już jako czarna erynjowa chmura.

Tu jest cały węzeł feerji: nie zrozumieć tego węzła, jest to wydać „Balladynę“ na łup, uczynić z niej zlepek reminiscencji z Danta, Szekspira i Mickiewicza, dziwotwór bez korzeni w ziemi, tragedję bez całkowitego wdechu i wydechu; znaczy to — zabłąkać się na manowcach i nigdy drogi nie znaleźć dla inscenizacji Słowackiego.

Zaprawdę, Balladyna z chaty nad Gopłem podnosi się do labiryntu wież w Gnieźnie. Za nią po przez Grabca podniesie się Goplana. Królowa tęcz na modrej fali przeobraża się na czarne eumenidowe skupienie, z którego wypadnie istotny grom karzący, piorun Anioła kar. Słowacki kongenjalnie tworzył z Grekami: z Goplany i jej orszaku dobył dyonyzyjską podstawę dla zjaw sceny apolińskiej — jeśli Grecy tworzyli swój dytyrambos ze satyrów i sylenów, zatem półbogów górskich lasów i potoków, to polski poeta utworzył tło orkiestralne dla wizyjnie demonicznej Balladyny z jeziornych nimf, półbogów własnej ojczyzny, czyli ze siostrzyc owych satyrów i sylenów.

Zagrać „Balladynę“ można dziś w pełni tylko w teatrze rozporządzającym obok sceny kolistą orkiestrą (areną cyrkową), zatem w teatrze typu greckiego, czyli w teatrze, ku któremu w tej chwili skierowują się wszystkie istotnie twórcze wysiłki europejskie. W orkiestrze bowiem tylko (wśród czarodziejskiego światła reflektorów) możnaby rozpiąć baśniową akcję Goplany i jej skrzydlatego orszaku: na samej scenie równocześnie i kolejno przedstawiać zaś chatę wdowy, zamek Kirkora, obozowisko pod Gnieznem, salę królewską... zatem akcję apolińskiego tematu ponad dyonyzyjskiem chóralnem życiem orkiestry. Kontrapunkt taki trwałby przez cztery akty, aby z piątym aktem ujawnić nową barwę: Goplana z orszakiem zmieniłaby miejsce, wypłynęłaby z orkiestry na samą scenę, aby utworzyć dokoła baszty za oknem sali tronowej owo czarne skupienie, z któregoby najpierw owe jęki zaczęły się rozlegać, o których mówi Słowacki, a z którego to skupienia wypadłby potem czerwony grom, zabijający Balla-

dynę[1]). Goplana jest ramą sztuki, wężem Nadasz, który panteistycznie okręca się dokoła ludzkich zbrodni; tylko Goplana zamyka całość w wielką Jedność. To samo co oplątuje ludzkie czyny, musi gruchotać swoimi piorunami hybryzmy, wylęgłe z oplątanych czynów. Słowackiemu wytrącić z ręki ten cudowny klucz, którym czarodziejsko włada, jest to pozbawić Jego poezję Boga: jest to ujawnić nie dzieło Sztuki, ale zlepek szekspiryzowanych zbrodni, bezkarne poruszanie się po deskach świata, twórczość do najwyższego stopnia amoralną; jest to podawać hybryzm za chleb i wino, uważać ten hybryzm za sam ołtarz i samą krew. Piorun nie może uderzać, jak Deus ex machina, nie może spaść z nieba kaprysem prawdziwego hokus-pokus, choćby nie wiem jak go wzywano. Piorun, jako wyraz druzgoczących sił, musi rodzić się z tych samych sił, które na początku Zło rozpętują. Scena apolińska jest u Słowackiego straszliwym ołtarzem gorejącego ognia... ani zapalenie jednak stosu, ani zagaszenie tego stosu nie mieści w sobie Pierwszych Przyczyn... wielka Przyczyna leży zewnątrz, jest żywą, nieustająco obecną, musi mienić się barwami, zmieniać twarze. Na początku utworu pojawia się ta Przyczyna, jako pierwsze pchnięcie w kierunku spadzistości, po której kamień anormalnie dostanie się na szczyt góry; przy końcu musi pojawiać się jako zanulowanie Zła, trącenie kamienia z powrotem w przepaść. Byłoby kalectwem ducha nie zobaczyć w Goplanie i jej orszaku owej siły, która całą akcję pchnęła do ruchu. Goplana jest całego ruchu alfą i omegą; zmieniając w ciągu misterjum barwę, zatem twarz, jest ona naprawdę dyonyzyjską. Balladyna mordująca i trująca może się przesuwać aż na szczyt tronu... może nogę postawić nad zamordowaną Aliną, nad otrutym Kostrynem, nad zwyciężonym Królem-Duchem Kirkorem, może nawet przejść nad jękami własnej torturowanej matki... *wyzywać niebo*... ale *piorun spaść musi* z czegoś, co jest logiczne i realne (dramatycznie), co zawiera istotną moc skupienia w sobie elektryczności, z czegoś, co zgęściło się tylko, a było już przedtem obecne i żywe w dziele samem. Gdzież ukryte są Siły Pierwsze, jeśli nie w Goplanie?

Grać „Balladynę" trzeba zatem naprzemian nawet i częściowo równocześnie w orkiestrze i na scenie: zacząć trzeba prologiem (prologiem jest scena 1, aktu I), w którym występuje Pustelnik, Kirkor i Filon. Sama akcja rozpoczyna się pojawieniem się Goplany i jej orszaku w orkiestrze: świat z nad Gopła nakształt *płynącej mgły* synestezyjnym ruchem powiewnych postaci wypełnia całe dno kolistej orkiestry. Mgła będzie przyczyną, że powóz Kirkora ugrzęźnie w błocie i mgła będzie przyczyną, że Grabiec nie trafi do lubej. Skrzydlaty Skierka (nabity świeczkami błysków jeziora w słońcu) i chochlik (skrzydlaty Proteus) prowadzą Goplanę-królową i powiewne jeziorne nimfy nakształt oparów, które falują w takt muzyki Słowackiego, zatem muzyki, której każde słowo jest oparciem dla dytyrambowego zespołu. Grabiec zatacza się w tej mgle pijany... w chacie wdowy Kirkor dziewczętom mówić pocznie białe słowa... oto dwie akcje grane prawie równocześnie, oto *kontrapunkt*, który daje się przedziwnie ze Słowackiego samego wyprowadzić, jako głosy jednej i tej samej fugi... oto *Teatr Słowackiego*. Reżysersko (podobnie jak inscenizacyjnie) polega wszystko na inwencji pozwalającej oprzeć temat sceny na temacie orkiestry. Akt drugi i trzeci wzbiera jeszcze większem bogactwem: pijany Grabiec pod wpływem gestów Goplany (gesty imitatywnej magji) przeobraża się w rosochatą wierzbę (płaszcz odpowiednio skomponowany zostaje zarzucony Grabcowi, leżącemu na ziemi, w takt akordów Słowackiego!); wierzba ta opodal sceny mordu samego rzuca ów krzyk: Jezus-Marja, na który wzdrygnąć się musi nie tylko Balladyna, ale cały teatr. Siostra zamordowała siostrę, teraz od Goplany odbiera dzban malin, wraca do chaty. Powoli za sceną rozlega się śpiew zbliżających drużek. Goplana pozostaje nadal w orkiestrze... stanowi milczący akompanjament dla akcji na scenie... akompanjament dramatycznie związany z apolińską zjawą. Z Grabcem wraca żywe słowo w orkiestrę: wyczarowywanie dzwonkowego króla zapomocą świateł feerycznych przygotowuje całość do istotnego symbolu... dyonyzyjski flet czy fujarka stanie się najwewnętrzniejszą Tajemnicą, łączącą nagle oba światy: sceny i orkiestry, w *wielkie Jedno*. Akt czwarty z ucztą i widmem Aliny (widmo w orkiestrze, uczta na scenie) wyzwoli śpiew duchów. Śpiewanie jest tu związane nietylko ze sceną pojawienia się ducha Aliny na miejscu dawnego zabójstwa, ale zarazem jest ono pierwszem echem nowych zmian panteistycznie podkreślonej akcji przewodniej. Już Skierka i Chochlik (akt IV, sc. 1, sc. 6), występując na scenie samej, pokazują nową drogę: podnoszenie się dyonyzyjskiego tumultu ponad orkiestrę, Ruszenie definitywne chóru jest treścią aktu piątego. Na początku orszak cały płynie jeszcze tumanem (Słowacki mówi, inscenizując: „Przypływa *tuman mgły* rannej, oświecony tęczą; z pod bramy kolorów wychodzi Goplana." Akt V, sc. 1), Goplana zapowiada, że wzleci nad mury gnieźnieńskie, aby zaśpiewać smutne pożegnanie ziemi... już widzimy tę ziemię, dotąd tak żywą i barwną, to jest orkiestrę, powoli wyludnioną. Na scenie pojawiają się zrazu Kirkorczycy... potem nad nimi (na wyższej scenie) Balladyna... wreszcie z całości wyłania się trzeci obraz: sali koronacyjnej z oknem i wieżą za oknem. Wszystko z orkiestry wypłynęło przez parodos lewy (boczne lewe wyjście) na wieżę, skupiło się tam w ciemną gromadę—*chmurę gromową*. Opustoszała orkiestra czernieje przed nami... życie barwne zostało z niej wygnane... zdaje się nam, że skrzypią w niej gałęzie, na których trup kołysze się pustelnika...

Inscenizację, którą w kilku słowach uważałem za potrzebne zaznaczyć, aby ujawnić cały czar i całą siłę *Słowackiego w Teatrze*... można częściowo na skutek braku orkiestry (uważając to jednak za etap przechodni, zatem jedynie tymczasowy) poprowadzić na szeroko rozwiniętem i odpowiednio przerobionem proscenium dzisiejszej skrzyni scenicznej. Każda inna inscenizacja, prowadząca całość feerji liryczno-dramatycznej (zatem naprawdę tragedji) Słowackiego

[1]) «Lecz nad mury gnieźnieńskiemi lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi» (akt V, sc. 1); «Prawda, jakiś jęk nieznany», mówi kanclerz, słysząc jęki z wieży (akt V, sc. 4).

na zwartej, jednej i tej samej scenie („w pudle od starego kapelusza“, jak mawiał Wyspiański) musi mieszać dyonyzyjskie i apolińskie elementy, jak groch z kapustą, siekać ponadto sztukę szesnaście razy kurtyną, na porcje, podawane jedna po drugiej. Jest to z punktu dzisiejszych czasów i dzisiejszego kultu dla Sztuki czemś tak horendalnem, że nawet bardzo przeciętny widz, obecny na tak spreparowanej „Balladynie“, mający, jako tako trochę bezpośredniości i wrażliwości na Piękno, instynktowo musi wyczuwać *zbrodnię popełnioną na Słowackim.*

W Warszawie siekaną taką „Balladynę“ oglądać obecnie można w Teatrze Polskim. Została ona w tej samej formie podaną ongiś w Krakowskim Teatrze. Teatr Polski nie podał nic nowego, oparł się inscenizacyjnie na pomysłach Solskiego, zastępując tylko stylizowane dekoracje Franciszka Siedleckiego dekoracjami Ruszczyca. [1]) „Balladyna“ pozostała w Warszawie tą samą „Balladyną“ co w Krakowie, nie przeszła ona do wyższej formy, bardziej zgodnej z dziełem, to jest do *inscenizacji opartej na kontrapunkcie.*

OTTO.

Wrażenia.

JADWIGA MARCINOWSKA: Vox clamantis. Powieść.

Autorka, jak gospodarna gosposia, rozpoczyna o wschodzie słońca akcję swej powieści. Pomysł zacny, pełen uroku i świeżości. Zda się, że stoimy u stóp, podnoszącej się nad dramatem kurtyny: nad dramatem Ziemi Świętej: tą kurtyną jest noc; a siłą, która ją podnosi, słońce. Dreszcz rodzącego się poranku udziela się duszy czytelnika nastrojem oczekiwania, trwogi, niepokoju. A wraz z nami niepokoi się i czeka ziemia. Niepokoi się i oczekuje ludzkość. Ludzkość, gotująca się do najświętszego aktu: do poczęcia w swoim łonie boga, do wydania z trzewi *nowego* boga. A raczej, nie: autorka cofa się we wcześniejszą fazę: to ma się zrodzić dopiero zapowiedź boga, myśl zwiastująca: Jan Chrzciciel. Pani Marcinowska legendę ewangeliczną o Zacharjaszu i Elżbiecie przerobiła na poemat, na apoteozę tej najszczytniejszej fazy, którą jest dla kobiety ciąża: ciąża, w jaką zachodzi ciało i dusza kobiety, ciąża w jaką przez ciało i duszę kobiety zachodzi teraźniejszość, ażeby wydać z siebie coś, co ją przewyższy, co ją przezwycięży i — odkupi. Wszystkie matki-polki powinny złożyć hołd głęboki pani Marcinowskiej za tę apoteozę poetycką macierzyństwa, za to przebóstwienie łona kobiecego, w którym ona widzi kolebkę Zbawcy, w którym czuje i wielbi dom boży. Prasymbolem wszelkiej tajemnicy jest tajemnica poczęcia. Prażródłem wszelkiej radości jest radość rodzenia, radość mocniejsza nad ból, mocniejsza nad śmierć. Dostojnością królów i panujących jest władza zabijania; lecz dostojnością bogów jest obdarzanie życiem, niedostępna królom moc powoływania do życia. Królowie podpisują dekrety śmierci. Bogowie podpisują dekrety narodzeń i — zmartwychpowstań. Miecz katowski stał się godłem potęgi królewskiej; zapłodniony żywot dziewicy włączony został do pacierza jako godło opatrzności i potęgi bożej. W tej hierarchji godeł wyraziła się, przed trybunałem ludzkości, wyższość rządów niebieskich nad rządami ziemskimi: Jezusa nad Herodem. Oto osnowa powieści i filozofja pani Marcinowskiej: filozofja starożytna jak smak chleba, jak męka i rozkosz macierzyństwa, jak pacierz.

BERNARD KELLERMANN: Głupiec. Powieść.

Trudno jest treść tej książki określić inaczej, niż słowem: świetlejąca. Nasycona jest dziwnym fluidem promienności, który sprawia, że każde słowo w pamięci czytelnika zostawia za sobą smugę jaśniejącą. Skąd bije źródło tego światła i olśnienia? Zdaje mi się, że źródłem cudu jest utajone w duszy autora przekonanie, iż niema ludzi złych na świecie: są tylko ludzie nieszczęśliwi. Człowiek niegodziwy i zły, według Kellermanna, to — człowiek święty, który jeszcze nie przejrzał na oczy. W każdym tkwi potencjalna świętość: każdy czeka na swą godzinę nawrócenia. Stąd wynika misja najwyższa człowieka, który przejrzał: apostolstwo.

Szkoda że przekład p. M. Łaganowskiej razi grubymi błędami. Stale np. w przekładzie spotykamy zwrot: *czym* więcej, tym lepiej (zam. *im*-tym); «latarni» zam. «latarń». Nieszczególnie też brzmi: «mieć obłąkanie. Nie wdaję się tutaj w rozbiór szczegółowy wartości przekładu, ale chciałbym obudzić czujność w kierunku pielęgnowania polszczyzny.

STANISŁAW OSTROWSKI: Rok klęski. Powieść historyczna.

Potrawa w krwistym sosie dla niewybrednych apetytów. Bitwa pod Lipskiem rozpościera się pod koniec, jak czerwona plama na papierze, powstała przez rozlanie atramentu. Historjozofja autora stoi na poziomie podręczników szkolnych. Napoleon autora stoi na poziomie zasłużonej klęski. Książę Józef umiera w porę, by zakończyć powieść okrzykiem: Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu go oddam! Ten jeden tylko okrzyk coś wart jest w całej powieści. Ale i bez niej brzmiałby on potężnie. Natomiast powieść bez tego okrzyku byłaby ... plotką o Napoleonie.

SAWITRI: Księga Milczenia. Nowele.

Przez czerwoną topiel rewolucji płynie błękitna łódź miłości. W łodzi przekomarza się romansowo dwoje ludzi. On ma na imię Andrzej. Ona — Wanda. Czerwona topiel zrobiona jest z soku malinowego. Łódka z papieru. Dwoje ludzi — z erudycji historyczno-literackiej. Dusze zakrojone na miarę średnio zasobnej biblioteczki. A całość? Całość artystyczna sprawia wrażenie nieudolności, rozklejonej na deszczu gadulstwa. Szata zewnętrzna książki zaszczyt przynosi firmie, która ją wydała.

[1]) Z 19 scen oryginału (8 dekoracji) okrojono pięć scen (sc. 1 aktu III, sc. 2 i 3 akt IV, sc. 1 i 2-go aktu V). Ani w Krakowie ani w Warszawie nie zrozumiano, że Goplana występować musi przy końcu w chmurze; opuszczając sc. 1 aktu V, zgubiono ją już w siódmej odsłonie (sc. 4, aktu III).

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.